A. SZCZĘSNY

TO, CO SIĘ STAŁO



PÓD ZNAKIEM POETÓW



WYDAWNICTWO JAKÓBA MORTKOWICZA

A. SZCZĘSNY

TO, CO SIĘ STAŁO

WARSZAWA MCMXII J. MORTKOWICZ

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

PRZYMKNIĘTE OCZY

SZYBY TĘCZOWE.

Pełnia słońca spaliła mi szyb zwykłą jasność,
Odebrała ją oknom, patrzącym na życie.
I stanąłem w tęczowym szyb moich zachwycie,
Władząc wielą, a w cudzą zapatrzony własność.

Cóżem ujrzał w tęczowem szybnem przywidzeniu,
Czyli zazdrość stanęła koło mnie nieznana?...
Była kiedyś w mem sercu niebliźniąca rana,
—Płacz zapytań, chodzący w ludzkiem przypomnieniu.

Ale widząc, że serce mi zadługo krwawi,
A przy chorej słodyczy stanęły zarazy,
— Ogniem słońca spaliłem mego serca skazy
I odtąd tylko duma miłośnie mi prawi.

Za szybami świat mnogi włóczy się i gminny,
Kwitną tam tłuste łąki i bujne pastwiska
I huczne się sprawiają w izbach weseliska,
A początek i koniec zawsze jest przyczynny.

Wygnałem siebie kiedyś z tego złego raju,
Cichych drzwiczek, wiodących na ścieżki pod domem,
Wygnałem siebie kiedyś tęsknoty ogromem
Po słonecznym, a w sobie nieuchwytnym kraju.

Obcym tam, słońce szyby spaliło tęczowo,
W sercu chorej słodyczy wypaliło skazy,
I stoi przy niem duma miast słabej zarazy,
A tam, patrzę przez szybę moją opalową.

TĘSKNOTA UMARŁYCH.

Przez okiennicę wązki złoty promień wpada
Do pokoju, gdzie chory skazał się na leki,
I w promieniu się ściele kurzu tęcza blada,
Smucąc roztrzepotane od światła powieki.

Napróżno dzisiaj skrzętnie wytarto podłogę,
Aż błyszczą jako srebro gwoździ startych łebki.
Przez tajemnie przebitą wązką słońca drogę
Wieczny domu się zdradza proch; duszący, lepki.

A nie wiedząc że myśli tak — chory, znużony,
Rozprowadza po krześle leków ciecz rozlaną
— W litery swojej śmierci do życia stęsknionej...

— Za oknem, nad kwiatami zarosłą polaną
Drzewa w gorącym wietrze chwieją się szalone,
I sadzawki błysk igra z domu białą ścianą.

ŻEGLUGA.

W domach zamkniętych szczelnie, gdy południa spieka
Przytula do nieruchomych drzew cienie po drogach,
I oddechem gorącym spija wodę w progach,
Która z polanych sieni leniwie wycieka;

W domach zamkniętych szczelnie pod sieni stropami,
Ładownie kurzem, brudem i tynku okruchem,
Stoczone przez robactwo i sztywne bezruchem,
— Okręty wiszą z flagą krwawą i działami.

Snów korsarze umarli tak dawno w popiele,
I powieść o nich — z cedru zwietrzała szkatułka:
W suficie statkom starym powbijano kółka,
Aby wisiały — gratów chwalebnych modele.

I oto w skwar południa, bezcennie daleka,
Czyż komu się przypomni mórz nieznana droga!...
— Gdy słońce tak powoli spija wodę w progach,
Która z polanych sieni leniwie wycieka.

ZWIERCIADŁA.

Zwierciadeł starych mowa, z żalu zzieleniałych
Po złotej twarzy słońca, które w nie spojrzało —
Szepce mi cichą baśń o fregat żaglach białych,
O pożegnalnych strzałach przed żeglugą śmiałą, —

Szepce mi o orkanów przeszłych zgasłej grozie,
O buntach w czasie cisz, na morza lustrze gładkiem,
O ryku głodnych załóg, kierujących statkiem,
Kiedy sternika trup zwisł z rei na powrozie.

O portach szepce mi, gdzie w stujęzycznej zwadzie
Stęsknionych bander krew na masztach się trzepoce, —
O pluskach mówi mi pod tamą w jasne noce,
Kiedy latarni błysk na garby fal się kładzie.

O ludziach mówi mi prawiących tajemnice
Dalekich świata stron, gdzie szczęścia szukać chcieli,
Gdy z żalem jeszcze raz chcą ujrzeć młode lice,
W gawędach skarżąc się — po co i gdzie płynęli...

MROK ZAUŁKÓW.

W zaułki blade światło wdziera się strwożone,
Przechodząc — hen, jak człowiek co się żegna trudno,
I na bramach zgryzionych dżdżem i nędzą brudną
Spowiada szczelin twarze mętne i szalone.

Ktoś napełnia pomroką wązkich ulic studnie,
Zmorę blado-zielonych szyb gasząc z kolei
(Oto obłok płonący u szczytu nadziei
Jeszcze otchłaniom mówi, wśród chłodu, południe).

Jeszcze mówi;... a w domach jałowiec się pali
I czarny mór strąca trupy w zalane piwnice;
— Blade światło, strwożone kradnie tajemnice,
Aż w zenicie się obłok na popioły spali.

SZYBY OD SŁOŃCA ZŁOTE.

Głuchych ulicznych kroków utrudzone wrzawą,
Szyby od słońca złote roją nocy ciemnię,
Nad równiną podmiejską błyskając daremnie,
Zanim się ciężka kula w otchłań stoczy krwawą.

Tam za szybami ludzie zmęczeni spoczęli,
Krótką chwilę nim lampy o zmroku zapłoną,
I patrząc jak czerwone chmury niebem wioną,
Myślą o święcie jasnej upalnej niedzieli.

O kiedyż się księżyca mleczność zbudzi w górze
I sen twardy przynęci te dusze prostacze?...
Za domami już gwiazda jedna srebrem płacze
I milczenia jak łkanie płyną w niemym chórze.

PIERWSZEMU ŚNIEGOWI.

Wiatr przewiał wskroś ulice i w prędkim wieczorze,
Nim jeszcze latarniane ogniki zapłoną,
Z wysoka, kędy oczy umęczone toną,
Miękich bezgłośnych płatków polatuje morze.

I dziwo że nie woła żaden głos strwożony,
Gdy widać jak się cicho, nieprzerwanie ścielą:
Jak w ogrodach się nędznie reszty liści bielą
I błazeńsko siwieją brudne maskarony.

Nie wiem; może te płatki wionące bezgłośnie,
Padają w zgięte dusze jak matki głaskanie,
Gdy pieszcząc syna-kalekę mówi: śpij kochanie,
Dla ciebie w mem marzeniu bohaterstwo rośnie.

ROZMOWA.

Pośród tych słów i sprzętów jak zawsze usłużnych,
Kiedy wikła powoli ręce sieć pomroki,
O mgnienie za daleki, o dźwięk za wysoki,
Mówię — człek szary, słupa kurzawy podróżny.

Mówię, jakbym nie słyszał bijących zegarów,
Ani trwożył się kiedy, że siejąc daremnie
Swoje wolne spojrzenia na pokoju ciemnię,
Otrącam małe liście z drzewa suchych czarów.

Po ziemi pełza blady ognik, biała zima,
W tem zamyśleniu ciężkiem
martwych ciemnych rzeczy
— Przez zmatowiałe szyby jakby lśni oczyma;

Śmiejmy się, ciężar śmiechu rozgłośnie zaprzeczy
Temu, co tak splecione na kolanach trzyma
Próżne ręce, dręczone grozą martwych rzeczy.

ANIOŁ DUCHA

ANIOŁ DUCHA.

Anioł, który w szukaniu dróg nie zaznał celu
I przeto nie był łatwem zwycięztwem uśpiony,
Zbłąkał się w gwarnem mieście w ulicy szalonej,
Gdzie rzezimieszek rzekł mu, nucąc — przyjacielu —

A stanął wtedy anioł nad górnem zwaliskiem
Domów, błyszczących świateł stubarwną ulewą,
I widział jak wytryska z bruku wielkie drzewo,
Niewidzialne dla tłumu — krwawym wodotryskiem,

I czuł anioł, że jakby z dumy zmartwychwstałym
Jest, a jednak pełen pogardy radosnej:
I stojąc pod krwawem drzewem
śpiewał słodycz wiosny...
— — — — — — — — — — —
A wokoło się fale zgiełku przewalały.

PRZYPOMNIENIE PŁACZU.

Pamiętam kiedyś mój płacz: łzy ciche, jasne, perłowe,
I darń rozmokłą kędy padały wsiąkając powoli,
Pamiętam kiedyś mój płacz —
łzy twarde, gorzkie, surowe,
Włóczęgi sercu mojemu wydarte dumie bez woli.

Te źródła dwa, tak sprzeczne sobie i tak tajemne,
Jakby dwie dłonie nad głową zawisły moją
I teraz jako dwa miecze
na łzy powszednie mnie zbroją,
Na łez upadek, padłych i wsiąkłych daremnie.

O jakże sercu surowa jest słodka dziecięca bezwina,
Powrotem wtórnym o jakże ukaja ona wejrzenie oczu,
Że wzrok być może jak niebo
o chłodnem jesiennem przeźroczu
I widząc że poznał wicle,
tak wiele wzgard przepomina.

DLA WIERSZA.

Życiem jest męka nigdy nie poznania,
A nie te nasze liche żale winy
I męka owa wiedzie nas w doliny,
Góry odsłania.

Rodzi nas chciwa żądza dociekania
I ona kruszy nasze formy z gliny,
Kiedy wypełni półszare godziny
Rozdźwięk czekania.

I niemoralne są nam czasem zdania
Mędrców, że wszędzie mieszkaniem ruiny
I wierzyć chcemy w jakieś trwałe czyny.
— — — — — — — — — — —

A duch jak chmury nas w przestrzeń rozgania.

POWRÓT.

Błogosławiona cichość moja i ten wiatr zachodni,
Chmur w niebie kołysanie, lśniący zakręt rzeki
I ten proch tu upadły z wędrówki dalekiej
— Kurz szary zanim słońce i deszcz go zapłodni.

Wczoraj tu-m jeszcze pustkę ganił będąc w gniewie,
I gardziłem samotnym startym progiem domu,
Wczoraj; dziś przyszła do mnie cisza pokryjomu
I tak słodko zaśpiewał ptak na zgiętem drzewie.

I widzę jako gasną krwawe znaki we mnie,
A ciernie rozwijają dziwnie jasne kwiaty;
I tako-m jest w spojrzenie radosne bogaty,
Że nic nie wołam próżno, gniewnie i daremnie.

WCZORAJSZA PUSTOTA

I

WOJNA

*

Nie poto żeby straszyć poczciwe mieszczany,
Pielęgnujące skwerki i wieszczów pomniki,
Ni płakać rozdeptane z warzywem koszyki
Przez wychodzące z miasta rezerwy pijane;

Nie poto żeby boleć nad matką strapioną
W kościółku niemych świętych, w kruchcie kolorowej,
— Powiadam ludzką wojnę w tej powieści nowej; —

Trup śmieje się pod słońce szczęką wyszczerzoną,
Zarówno jak i mieszczuch wypoczęty, zdrowy;
— Ja mówię śmieszność wojny w tej powieści nowej.

**

Chłodny pot wżerający się w stal karabinu,
Od palcy wkoło zamka kurczowo ściśniętych,
Lśniący kolec bagnetu, aureolą świętych
Iskrzący się od słońca nad zaroślem kminu.

To czekanie w ogrodzie warzywnym, gdzie grzędy
Wyrosły ponad głowy leżących na brzuchu
I dzwonienie złowrogiej ciszy w martwem uchu
Nim zaczną tryskać ziemią ślepe kul rozpędy.

Utarczka: — ciało czuje urojone bóle
Postrzałów, nogi cierpną i krtań się zaciska,
Jak dziecku kiedy we śnie zbyt chwieje kołyska;

I nagle, z gorzkim śmiechem można dojrzeć mole
Fruwające jak pyłki w zamkniętej stodole,
Gdzie się promyczek światła poprzez deski wciska

***

Przez ten deszcz monotonny, który dawno płynie
Z krzywych rynien ogródki zalewając małe,
Pełzną dymy znużone, gęste, siwo-białe
Od łoskotów dalekich w nadrzecznej dolinie.

Pusto, tylko się trzęsą mury opleśniałe
Lekkim dreszczem, gdy hałas przygłuszony minie,
Otwartem brzęcząc oknem w spróchniałej futrynie,
I strząsając w kałuże tynku płatki białe.

Bitwa: lecz rzeczywiście w tej strasznej godzinie,
Kiedy tak niedaleko widzą ludzie chwałę,
Dobrą czy złą, w rozmokłej powaleni glinie,

Nic więcej tylko śmieszność nad grozy zuchwałe
Góruje w tej wylękłej, zalanej mieścinie,
Czekającej na nędzę rozbitków czy chwałę.

* * * *

Zielony szaniec upadł: kurzem jest usiany,
Stratowany nogami tłumu, który w wrzawie
Wiedziony tęgim krzykiem orkiestry miedzianej,
Bagnetem się podpierał na stromej murawie;

Teraz chłodu, za wszelką cenę, bo strumieniem
Wsiąka w ziemię (a zresztą, co wsiąka — nic po tem),
Chłodu karkom natartym suknem i rzemieniem,
Żartym kurzem i wolno spływającym potem.

Ale jeszcze pobudka... pochyłe sztandary,
Nadchodzące za wodza objazdem z daleka,
Gdy chwieje z rowu czapką człek o twarzy szarej;

I głupota na twarzy owego człowieka,
Zaraźliwie radosna jak miejskie fanfary,
Kiedy tłum po ogródkach na festyny czeka.

*****

Tryumf: — przeszły już wszystkie kohorty i roty,
Pędząc pył, od którego źrenica omdlewa,
Uliczników się zbyły zakurzone drzewa,
Płowieją w słońcu arki i śnieżne namioty.

Teraz, zanim się słońce do zachodu skłoni,
Budząc nikły przeciągły głos różnych pobudek,
— Z domów, gdzie ganek czysty lub mały ogródek,
Słychać głosy radosne i szczękanie broni.

Wejdźmy: za domem szersze jest miejsce zieleni,
Stół, rodzina i w kącie zagapiona sługa,
Psy gryzące się w kącie jakiejś jasnej sieni;

A w tem miejscu gdzie słońca pada cienka smuga
Na łysinę, z prawicą w szerokiej kieszeni,
Gospodarz po toaście łzawem okiem mruga.

******

Prowadząc wszystkie swoje trąby i puzony
Tak gorliwie donośne w pochodzie wytrwałym,
Poprzez dróg sypki piasek i lśniące upały
Kroczy zwycięska ludność na szaniec zielony.

Szkoły, miejskie procesye, cechy, tęgie żony,
Mundury, tnące karki i blask sukni białej,
W jedną dyablą się razem dysharmonię zlały,
Którą próżno zakrzyczeć chcą nadmiejskie dzwony;

Aż owo, gdzie się jeszcze w trawie nie rozwiały
Zatłuszczone papiery od uczty niesionej,
— Szczęt wału, pamiątkowem drzewem ocieniony:

I teraz pod tym cieniem niepojęte cwały
Krasomówstwa, z ust męża o twarzy spoconej,
Odzianego w tużurek zaciasno skrojony.

II

IGRASZKI

* * *

Szukając w ścieku gwoździ i starych guzików,
W butach ojca, — mądrala o płowej czuprynie,
Zamyśla się gdy między kamieniami spłynie
Kwiat zmięty, wyrzucony z wrzaskliwych lufcików.

I mimowoli głowę zadrze, bo tam w górze
Chmurki białe, daleko czystsze od kołnierza
Brata księdza, łagodnie płyną, słońce zmierza
Od dachu za dach i jaskółki hen świergocą w murze.

— — — — — — — — — — —

Dobrze jest się zamyślić wśród starych śmietników,
Gdzie kury rozgrzebują pył od słońca złoty
I dobrze jest zadzierać głowy do tęsknoty
Od wytrwałych połowów gwoździ i guzików.

*   *   *

Bylibyście kwiatami o smutni nędzarze,
Lecz czemuż nadto dobrze każdy zna nazwisko,
Ziemię swoją, ród i głupstwa po ojcach siedlisko,
— Łodygi, — popularne w botanicznej gwarze.

Oto w domu mieszczańskim w ozdobnym wazonie
Piętrzycie się, gospodyń przykładnych kochanie.
Tulipany, hjacynty, fuksje i geranje
Za szybą o mętnawym opalowym tonie.

...W podwórku po szczytach dachów
dzień gasnący płonie,
Na szafie błyszczą w ciemni z konfiturą banie;
U okna wy się piętrzycie, fuksje i geranje,
Podlane świeżo, w czystym mieszczańskim wazonie.

* * *

(Małe ogródki ciszą przejmują ku rzece,
Świecącej jak nieznośnie wyginane blachy);
Nim kwiaty się rozwiną na zagonów spiece,
Upadnie ta jaskrawość za pochyłe dachy, —

A oczom, które pragną tak bezczelnie wcześnie
Widzieć radość i smutek bez kolei zwykłej,
— Nędznie uśpione płatki, skulone boleśnie
Pokaże córka domu przy latarce nikłej.

Nie poto-m więc tu przyszedł, by tłukąc latarnie,
Pomimo młodych dziewcząt stłumione okrzyki,
Odszedł, kwiatów targnąwszy ile dłoń zagarnie,
Nim przez gąszcz dojrzę żółte kuchenne ogniki?

*   *   *

W przedporannym zaduchu nie wierz swojej głowie,
Zamiast przez lufcik tęsknić nad śpiące podwórze,
Gdy w dole cieknie woda, brzęczy drut na murze,
— Zaśnij raz jeszcze w ciepłej, niedużej alkowie.

Wiedz, że po mieście nuda włóczy się nad ranem,
Czujna jak mdłych latarni pochylone szyje,
Więc cóż, że noc konając serce ci przeszyje,
Szczyptą gwiazd, spadających za jej karawanem.

Nimbyś mógł umrzeć w chwiejnej przedporanku ciszy,
Kiedy tak chmurzy oczy nieprzytomne krata,
— Wstanie zza dachu słońca jaskrawa plakata,
Dławiąc cień, co po kątach chorowicie dyszy.

Wiedz duża, mętna, śmiesznie powichrzona głowo,
Że ta łza, która cieknie po zgniecionej twarzy,
Nie jest wcale okupem, bym ci stał na straży,
Kiedy dojmuje nędza w chwilę świtu płową.

Dzień wytryśnie, a miasto lepkie daje rady;
— Potrącając skulonych błędu latarników,
W moim śmiechu otrząsać wstaniesz
kurz pomników,
Nim znowu cię przeszyje gwiazdek opył blady.

MILCZENIE ODDYCHA

W CHWILI NAJCIĘŻSZEJ.

W chwili najcięższej miewam najlżejsze uśmiechy,
Bez broni-m,
a pośród wrogów jak pielgrzym radosny
Żal najgorszy najdalsze daje widzieć wiosny
— W chwili najcięższej
miewam najlżejsze uśmiechy. —

Piosenki niezrozumiałej pozatykać wiechy,
Nikłych pierwotnych płonek rzucić ślad miłosny,
Oto dar jaki daje wędrowiec litosny
— Piosenki niezrozumiałej pozatykać wiechy. —

I tak idąc bez śladu, bez ognia i strzechy,
Bez broni, a pośród wrogów jak pielgrzym radosny,
Kraść im tchnienia najskrytsze do niebyłej wiosny
I puszczać je niby ptaki bez ognia i strzechy.

W PROMIENIU.

I.

W promieniu gwiazdy późnej kiedyś cię szukałem
— Martwico żywa, prędko zbyło ci wyrzeczeń:
Szukałem cię na mostach, wrących gwarem przeczeń,
Na radach ducha kędy zło tak tajnie kwitło ciałem.

Rzucałem ręce w pogoń za strwożonym czasem,
I słowu i spojrzeniu ruch dawałem wsteczny,
Jak kamień się na drodze kładłem twej konieczny
I kładłem się przed tobą ściętym w jesień lasem.

A hej! w tysiącu gier, gra twoja nieszczęśliwa;
— Wyrzeczeń zbyło i zabrakło ci — martwico żywa!

II.

Ogromny świata mur jest kędyś na bezdroży,
A tylko dopełzają noce tam zaślepień
I zdala mówią słońca rzece: fali nie pień,
— Patrz, czyż na murach tu nie czuwa szatan boży?

I w niesłychaną fal iskrzącą moc i granie,
Gdy głucho się głos rady zważa nad topielą,
Rzucają wyzew walk i mętem wody dzielą,
Iżby strumieni włos się skazał na wygnanie.

Czuwa zaślepień straż, jest ładem, jest godziną,
Mierzonej zgody krzak pod murem ma ekstazy,
Na murze szatan boży pełni straż bez zmazy
Przeciw słonecznym rzekom, które z myśli płyną.

Wołać czy kląć cię mam o duszo w śmierci żywa,
Ogrodzie, kędy w owoc płomień popiół kładzie?
..Tak tajnie złem zakwita ciało w ducha radzie,
Pod murem depczą nogi czar tęczowych szkliwa.

III.

Żyj krzaku martwej róży, moc jest w tobie grania
Słonecznych godzin, jeno grają one nie twą wolą,
Zbytnioś się automatów złą przejęła rolą,
Gdy lęk przez lichą scenkę królów ci przegania.

Znoszący słońca ci, jak jaja malowane,
Bawili cię niesionym w chustce świata darem,
Jak jeżem się bawiłaś złotem i dniem szarym,
A darujący, — zdradą życie miał kłamane.

Smutna, o smutna noc, mówiła mi ma stara
Bajka z pod grzmiących wód
złowieszcza mać wodnicza:
— Przeklętym będzie ten, kto swojej krwi użycza,
Młodością nie przeszczepi się spróchniała jabłoń stara.

I ja pytałem jej iżem był opętany:
Czyż zginąć ma, rodząca owoc ślepym godny?
Patrz, otom nowy pień i nie chcę kłamać głodnym,
A słońce me cień ma, cień straszny i nieznany.

I powiedziała mi złowieszcza mać wodnicza,
Że taki musi piorun w jabłoń starą zmierzyć,
Iżby spłonęła w garść rozwiewnych pyłem przeżyć,
I tak się wyzwoliła z nudy ogranicza.

Wtedy ją wicher ciśnie pod te wszystkie burze,
Przez które synem stałem się
złowieszczej mej staruchy,
Ciśnie ją w fali męt, aż ląd przepomni suchy
I pozna jaki szatan stoi na świata murze.

IV.

I rzekłem tedy prawdzie: oddasz jej swe wodze,
Będziesz we wszystkich
jej wykrętnych czynach służyć,
— Bowiem tę wolność zna, która ma tylko nużyć
Jak cień biegnący przodem na zachodniej drodze.

Bowiem włóczęgom jest jak w kamień otężały
Miłośnie brzmiący głos, który błyskami łudzi,
Ciężarem zgiętych bark uśmiecha się na grudzi,
Pątnikom nieopatrznym wyzew jej zmalały.

Ty prawdo, służbą swą kamienną twarz jej jawiąc,
Przez wszystkie życia ją przewiedziesz kręte szlaki,
Aniołem z cienia skrzydeł,
dzwonem cisz jednakim,
Prowadząc w nicość ją i w śródpromieniu stawiąc

Niech łka, niech szuka drogi we śnie zagubionej,
Niech znakiem siedmiu tajni wielka znów się cieśni,

Niech włóczy się w mieścinach staropodłej pieśni,
Jak w dźwięk zamarły kwiat,
a w kwiecie dźwięk stajony.

— — — — — — — — — — —

Aż kiedyś zwiśnie może w oknie jutrzni białej;
— Nie ona, — sen jej snów,
myt duszy zmartwychwstały.

V.

Wiatr cichy gra hosanna: — mytem dusza żyje,
Życiem tem smucąc miłość, która łaknie czynu,
Bo tak ją upoiły tęgie wrzaski gminu,
Jako upaja słabość, gdy się złud opije.

Zwycięztwa wymieniłem słabą zbyt dla ducha
Walkę, na długą drogę w morza i przez góry,
I patrząc jako zdradza złoty krąg natury,
— Tęsknoty me marzenie z morskiej muszli słucha.

NIE WIEM KIEDYM.

Nie wiem kiedym me światy utworzył z niczego
I nie wiem jakie gwiazdy musiały w nich spłonąć,
Przepomniałem, co miało w stworzeniu utonąć,
Ust milczenie, czy podziw, czyli uśmiech złego.

Wiem tylko, że jak morza rozlane przestrzenie,
I źdźbło każdego błysku podbiłem miłośnie
I że ogród mi w sferach nieujętych rośnie,
A chodzę tam wodzony przez dobre spojrzenie.

I nie pytam się w sadzie: czyliście skrzywdzone
Drzewa i kwiatów łąka, czy wam wzięto duszę,
A tutaj się zostało to, co więdnie w susze
I ogrodnikom czujnym tylko jest zielone.

Nie wiem, kiedym me światy utworzył z niczego,
Czy płakałem, bo obcość łez nie gnie mi ducha;
Jestem jak ten, co w siebie zapatrzony słucha
Ust milczenia, podziwu czy uśmiechu złego.

Kiedyś, gdym się najmował do ducha winnicy,
Słońce dało mi pierwszą najemną zapłatę,
A pocałunki jego były tak bogate,
Że słodkim się wydawał ciężki trud prawicy.

I tak hojny się stałem ja ducha najemnik,
A z biedy swej tworzyłem skarby szczerozłote
I ciskałem je garścią przez słońca ochotę
W małe okna, w złą stronę, w każdy ludzki ciemnik.

Nie spoczywałem nigdy na myśli motyce:
Rękojeścią błyszczącą podważałem bramy,
Topielcom dla ratunku własnych statków tramy
Ciskałem, dla nizinnych giąłem swe wieżyce.

I oto gdy w południe sok straciły grona,
Sok radości promiennej i ocet wylały,
Pierwszem wino kosztował w winnicy dojrzałej
I płakała dziecięca dusza zasmucona

Złe są płacze, gdy serce strwożą i odurzą,
Każda brudna latarnia w tęczę się rozpływa,
I choć cudów doradą dłoń zostaje chciwa
— Jednako zło i dobroć swą postacią nużą.

I trzeba wielkiej ducha, a kornej ofiary,
By płaczący nie upadł pod mieszczańskim progiem,
By na targi uboczne nie szedł z obcym bogiem
I nie zasnął przy ogniu pogardliwej wiary.

— — — — — — — — — — —

Lecz działo się, że dusza płacząc zasmucona,
Prawdziwą moc poznała z winogradu kwasem
I nie dała łzom prawić mym najemnym czasem
Słabe bajki, od których duma jest spalona.

Jakże słodko wołały mnie mieszczańskie progi:
Chrapiący snem przepadłym tak głośno radzili,
Policzki mi całował motyl czarnej chwili
I szczęściem przecinały się przedemną drogi.

Tęsknota w krąg chodziła kłamna i swe usta
Stopom moim spokojnem podnóżem dawała,
Czułem oddech na piersi pragnącego ciała,
A winnica ma była zgorzkniała i pusta.

I stałem jako samotny krzew w wichrze ogniowym,
Oburącz się mej myśli chwyciwszy jak drzewa,
Słońc ulewą nademną świat odmienny śpiewał,
Patrząc w oczy bezdeniom smutnym i surowym.

Takem przeszedł przez wieki szlakiem wkrąg uwitym,
Aż przestałem się dziwić żywym i zabitym...

Pokłon daję świątyni o dziewiątej bramie,
Nie wiedzący i wiedni wobec was to czynię,
Bo nad wami jak nad mną wir szalony płynie,
W was i we mnie pęd życia tęży się i łamie.

Kiedyś ową świątynię budowały duchy
Nie wiedzące o dobrem i złem pokoleniu,
Bowiem moc ich tak kwitła w życiowym płomieniu,
Jako kwitnie rodzące słońc i gwiazd okruchy.

I stała się świątynia obłokiem, kurzawą,
Źródłem gór, błotną trzciną i pobladłą trawą.

Gdzież szukamy świątyni: ci co jej się kłonią
Wiedzą, że takich chramów w żadnem niema niebie,
Że w nich się ona piękna rozrasta i grzebie
Wiecznym pędem tych światów, które się nie zgonią.

I idą szukający świątyń dumy krokiem,
Radośni jako dzieci nie wieńczone czynem,
Idą z myśli tęskniącej niezdartym wawrzynem,
Za trawą, błotną trzciną, źródłem gór, obłokiem.

I gdy coraz śpiewając lepsi są a cisi,
A dawne głośne struny rzucają za siebie,
Nie wiedzą, że ich przeszłość walk,
w tłumu potrzebie,
Na dawnych głośnych strunach jak na krzyżu wisi.

FRAGMENT.

I.

Któż nas wiecznej mądrości uczy jak aniołów,
A oczu nie zatula goryczą zawodu,
Któż stawia blade lampy po pałacach z lodu
I daje niewiadomym dłoniom zdarzeń ołów?

Dźwięk, barwa, ledwo w oczach rozjaśnionych dnieją,
A już czynu dotykiem splamione są — święte;
Koło prawdy inaczej jak świat jest wygięte,
— Kwiaty cudu się nie tną jak sierpem, nadzieją.

Rzeczone jest po trzykroć, choć nie słychać głosu:
— Dźwiękiem, barwą ujęciście w szalony taniec,
Będziecie jako ciągły z wiary zmartwychwstaniec,
— Kochankami niezmiennych stawań się chaosu.

Cierpcie, —
nie, uiszczcie się własnych spokojów rozkoszą,
Nad grobami latajcie jako błęd ofiarny;
Oto już się promieni grzech najcięższej czarny,
Oto w cień siły wasze schron słoneczny noszą.

Ogromne tętno wzięliście na miarę ducha
I skronie znieść nie mogą bicia głuchych godzin;
— Nie można być piastunem i śmiercią narodzin,
A słuchający zawsze poza treścią słucha.

...Rzeczone jest potrzykroć: o zbłąkańcy wieczni,
Tak gwiazdom miłowaniście i sercu bogów,
Że duma was z miłością odtrąca od progów,
Gdzie ludzie waszych wyzbyć mieszkają bezpieczni.

II.

Jest jedna pamięć we mnie jak słoneczna góra,
Świecąca w wieczne morza radosnym okrętom,
— Pamięć ducha, bijąca w myśl jak ptaków pióra
Samotnych, i wyrajów nie oddanych skrętom.

Jest pamięć we mnie: — kiedy spadają godziny
I przesuwana piaskom jest szara granica,
Ona mnie w złoty ducha lot rwie i zachwyca.
— — — — — — — — — — —

Tak oczyszczone będą sny i ludzkie winy.

III.

Któż był? —
nie kładł słów cichych na miecza krwawiznę
I przechodząc nie mówił bramom: chrońcie głosy,
Tylko się z gwiazd mocował wionącemi włosy
I, wędrowny, na sercu niósł swoją ojczyznę.

Tak dotykał się grobów, dając życie twarzom
Zasłoniętym na czoło w swoich losów dumie,
Że wstawały jak widma w rozkruszonym tumie
Urągać małych ludzi trumnom i cmentarzom.

A jeśli kiedy spoczął w smętku to nie poto
Aby maleńkim słowom dać gwaru swobodę,
Tylko płakał ku słońcom spadającym w wodę
I naglił lotne ptactwo wędrowną tęsknotą.

IV.

I oto gdy rzeczone jest trzykroć bez głosu,
Że trzeba sny otrącać jak dziejów korony
I trzeba sięgać słuchem poza treści tony,
Utwierdzając samotne wiary wielkich ciosów.

— — — — — — — — — — —

Kładę chwałę tym walkom, co jak błyskawice
Nad ostrzami nizinnych miast świecą widomie,
Obliczom królującym w opuszczonym domie,
Krokom nie wracającym w zdobyte ulice.

A kładę ją na wody wód, na morza wieczne,
Gdzie wygnańców okręty dusza z rzek wyniosła,
Kto żywy, ten dosłyszy ich bijące wiosła,
Dojrzy żagle tonące w okręgi słoneczne.

OBOJĘTNY.

I.

Obojętny na wszystkie serca i znużony,
Lecz nie uciekający, owszem, w tłumy idę,
Suchą dłonią trącając dziwactw piramidę,
— Drąg tysiącem błagalnych szmatek obwieszony.

Noc i dzień zamieniłem teraz na ohydę
Zbyt uważną by brała nazwisko pomszczonej:
— W portach pamięci nie mam bandery spuszczonej,
— Suchą dłonią trącając, owszem — w tłumy idę.

Chrystusów słup, przez greckie nadłamany duchy,
Rumaków z bronzu rżenia i wygnańców miecze,
Zarumienionych w niemej pokusie odruchy:
Wszystkie wesołe smutki, którym nie uciecze
Nic, ni ja po przez różne żegnany wybuchy,
— Oto koronka gwiezdna, która w bezmiar wlecze.

II.

Schylajcie się przez wszystkie kryształne marzenia
Kościane dzieci żalu, sądzone bez liku,
— Ciemna łuna wytryska miastom pełnym krzyku,
Wody mostom zwierzyły syczące westchnienia.

Jeśli kto małpim ruchem potrafi przez chwilę
Utkwić sen gorączkowy w kolorowym wirze?
— Owoce spadną jutro, gwiazdy jak na lirze
Struny drżą zapatrzone w pożarów motyle.

Ale zanim się śpiący hałas roznamiętni,
W groźną ciszę, łaskawą na błazeństwa szczodre,
— Pójdźmy ujrzeć latarnie, szyby cicho-modre,
Gdzie rybacy podwodni śpią łowom niechętni.

III.

Zagubiony na placach, ja, dziecko żałosne,
Płakałem wczoraj w rowie na przedmieścia brzegu,
Łzy me były wczorajsze i znaczyły w śniegu
Niewyraźną tkliwością plam malutką wiosnę.

I tą wiosną trącony świt miejski pół-dymny,
Chowając za ulice gaśnienia światełek,
Usypał mi znakami drogę barwnych szkiełek
Na obojętne wejścia poziewań i hymny.

Wtedy szedłem już w różne progi z drzwi trzaskaniem,
Dalej w cichym przewiewie mgły i woni ckliwej,
Pokoi pół-zaspanych oglądając dziwy:
— Sprzęty czujne oddechem i oczu zmrużaniem.

Wiele straży goniło mnie po drodze tajnej,
Pół-widząc moje ruchy szelestem przeczucia,
Zbójecko mi błyskały blachy i okucia
Udając przerażenie na drodze zwyczajnej.

Widziałem miejsca kaźni nieme, gdzie po górach
Cieniów, tak topniejących jak zleżałe lody
Szalonym pędem w blade zbiegały ogrody
Miękkie twarze, duszące się w spalonych piórach.

Widziałem zachłyśnięcia się próżne, a słodkie
Tak od swojej legendy żalu, że miłośnie
Powstawały nad niemi kurze, stąd gdzie rośnie
Między gratami kruchość na marzenia wiotkie.

Deptałem pióropusze grzybów, moc istnienia
Uraziłem goniony przez niecnoty różne,
Zarówno fantastyczne jak kotary próżne,
Gdzie się duszna lękliwość śmieje z murów drżenia.

I kiedym przeszedł wszystkie linoskoków dzieje,
Patrząc jak się wytrąca drągi nad otchłanią
Lśniących podłóg, gdzie liny urojone ranią
Zbyt głęboko krzyżując zluźnione nadzieje;

Gdym zawróconych oczu wypróbował błyski,
Czekających gdzieniegdzie zegarów zgrzytnienia,
— Pewną nogą wstąpiłem na wyższe błądzenia,
— Pod cichy szelest maku w niezgrabne kołyski.

Śpiewaków tam nie widać było, ale twory
Rodzone przez odmiany nocne i płochliwe,
Pomykania kosmatych pragnień, miały żywe,
Pielęgnujące dźwiękiem dla ślepych kolory;

A wielka niemoc bólu, przysiadłszy w pokoju
Śród rozrzuconych krzywych igraszek z tektury,
Wiązała puste sieci oddechów i sznury
Zaciągała tłuszczone w świec zgaszonych łoju.

Milczenie-m wtedy trącił, będąc już niechętnym,
A ono odepchnęło rdzawe okiennice
I raz jeszcze widziałem dół, gdzie snów rocznice
Skręcają pierścień doby ruchem beznamiętnym.

IV.

Tak-em pojął latarnie i szyb cicho modry
Płochliwych pełen cieniów zbiornik kruchy, szklany,
Jedna noc gdy już dymi zbrudzony świt ranny,
Czyż być może dziwniejsza w tajemnicy szczodrej.

Wiele nud zaprzągniętych w ciężkie musu wozy
Już tymczasem tężyło grzbiety ku wyjazdom;
(Cała historya żalu oderwana gwiazdom
Mieści się czasem w śpiących sieci i powrozy).

Ale ja zostawiając ślad swych stóp gdzie skrzypi
Na drągu zagaszony już dawno znak bramy,
Mogę odejść bez szmeru za nieszczęścia tamy,
Póki bezsilny wulkan błotem nie zakipi.

Przecieram zaschłe oczy i ku zaspom śnieżnym,
Polatującym równie jak stargane włosy,
Odchodzę niosąc wiosnę tak lśniących łez rosy,
Jako gwiezdna koronka niebiosom bezbrzeżnym.

CHŁODNĄ WODĘ ROZLANO.

Chłodną wodę rozlano na płyty kamienne
I zanim słońce spije tę trochę wilgoci —
— Jak lusterko na ścianie błysk mały się złoci:
...Nędzna otarta ściana oko ma promienne.

— — — — — — — — — — —

Jakiś błysk mnie uderzył w oczy, kiedy stałem
W starej ojcowskiej sieni, dziwując się drzewu,
Obsypanemu z góry kwieciem drobno-białem:
— Może słuchałem z gąszczu dalekiego śpiewu,
Może radości jakiej dalekiej słuchałem.

I błysk ten, błędność myśli, kiedy rozmarzona
Błękitna nieba oddal w złote mgły opada,
Sprawiły, żem opuścił jako ptak ramiona,
Kiedy go zniechęciła twarda skrzydeł rada,
Gdy płynie nad nim obłok — wyspa w dal pędzona.

— — — — — — — — — — —

Hej jasne małe gody, śni mi pod powieką
Światło onej kałuży z mej ojcowej sieni,

Myśli moje jak krople chłodne w pamięć cieką,
Po delikatnych prętach jarzących promieni,
Ku wodom, ku niebom jasnym, ku tęczowym rzekom.

I myślę jak czynione jest na narodziny
Ludzkie: one radoście w ciasnej izbie małej,
Starce, matki wesołe, strwożone dziewczyny,
A z za okna zawiewa bzem pięknie dojrzałym
Po przez pustki świąteczne niewielkiej mieściny.

Myślę; ach myśl jest czasem jak zwęglona karta
Listu, gdzie całą ziemię włożono i niebo,
Polatująca z wiatrem wonnym, a uparta
Czy jeszcze ust spragnionych nie będzie potrzebą
Nim w proch trąceniem dłoni nie będzie roztarta.

A oto się czerwieni niebo, dziecię wzrasta,
Powoje tchną i kwitną sercom w dzwonki białe,
Małe drzewko w pień tęgi ponad dachy miasta
Buja, kiedy godziny cieką w czas omdlałe,
W ulicę patrzy siwa z za okna niewiasta.

Tak słońce się od wieków toczy i zapada
Za kolumnady, dachy, za mieściny małe,
Gwiazda może przeświecić życie choć już spada,
Głosy mogą być wieczne, choć tak krótko-brzmiałe
I najbardziej wzgardzane słowo jest jak rada.

— — — — — — — — — — — — —

Dzieciny, które rosną w chaosie wód świata,
Oczy niewinne skazań radosnych, nie wiedzą,
Jak beznoga pod domem często idzie strata,
Którą siwej niewiasty oczy tylko śledzą,
— Wiatr kwitnącemi drzewy trzęsie i ulata.

A gdzie się zrodzi rycerz boży, gdzie ma drogę,
Za czyje imię ginie westchnąwszy dla siebie:
— Czy za słońc przepalonych odchodzi pożogę,
Myślą już w granatowem drugiem życia niebie.
— Pytajcie nieme głosy, swoją głośną trwogę.

Bo pienista ogromna fala wszędy bije
Jak w tamę lichą wali w serca opór blady,
Póki się z pięknej duszy piękna nie domyje
Na zapomniane głębie radosnej zagłady,
Gdzie nikt nie wie, że ducha złotem świat się kryje.

— — — — — — — — — — —

Błogosławieństwo kątom cichym i zmroczonym,
A także miodom pastwisk płynącym w południe,
Powitanie ogromne zawsze gwiazdom onym,
Które lśnią opływane przez nędzoty studnie,
Dziecięcym oczom, orłom i szybom spalonym.

I potom ja w ojcowej tu stojący bramie
Nad lusterkiem kałuży zamyślił się chwilę,
O dłoni, która nie gnie, jeśli nie połamie,
Gdy bierze tylko w ręce stal, a nie motyle.

— — — — — — — — — — —

— Dziecku często tak wejdzie w przywary gdy
kłamie...
Bo jakbym zalęknionym był o wszystkie one
Promienne oczy, głosy radosne a ciche,
Widząc białej akacyi kwiecie otrzęsione
I błyskające w kurzu te kałuże liche
Ku ścianie, tak ubogo, a dawno bielonej.

— — — — — — — — — — —

Tu gdy oczy podniosę, mam niebo ogromne
Za południowe cisze spadające dzwonem,
A serce dzwonu prysło dawno nieprzytomne
Bezmiarem cudnych wahań, niedosiężnym tonem,
I teraz musi dzwonić milcząc, a bezdomne.

Tu gdy oczy podniosę chmurka, chmurkę goni
I czas miłośnie głowy, przechodząc dotyka,
Szumią wody powietrznej rozpluskanej toni,
Serce bije, a falom onym nie umyka...
Gdy zdaleka w kamienne mury turkot dzwoni...

Ale dosyć, a jeśli kogo tu zadziwi,
Żem epopei małej nie stworzył układnie,
Gdzie wątły zrazu temat głosem trąb się żywi
Aż wreszcie gdzieś w niziny słoneczne zapadnie
I tam w oku rozbłyśnie, niechęć rąk ożywi;

Wiedzcie:... piszę na owej zakurzonej ścianie,
Biorąc krok wolny w miasto pełne cnót i grzechu:—
— Myśl jak gołąb czasami pod lazurem stanie
Szeroka, ale wolna od czynów pośpiechu,
Im lepsza, tem mniej znaczna jak to napisanie.

SEN.

Spałem, tak pochylony za okna zasłonę
Że nad czoło płakała mi gwiazda północna,
Sztywnych liści ostygła woń, cierpka a mocna
Opadała gdzieś dalej na zgliszcza czerwone;

Spałem tak, jak śpią dzieci radością znużone,
Że jutro śnieg zasypie wszystkie ścieżki do cna:
— Cicha biel odpoczynkiem głuchym bezowocna,
Na równiny ku słońcom krótkim rozdzwonione.

A wczoraj? —
Kto wie jak dobrze wczesne przytłumiają śniegi?...

I uderzono w czoło mnie ręką pamięci,
Wiejącą poprzez lata ciszy i popiołu,
Abym wydźwignął smutek ze sypkiego dołu,
W górę, gdzie wichr na tykach pustą słomę kręci;

Bym obejmował, mocny teraz i ponury,
Wszystkie wiedze dobroci znikąd i bez końca,

— Ocierał płytkie szyby z przymarzłego słońca,
Okrętów widma stawiał na wiatrowe góry. —

Melancholijna, —
Kto wie jak koi ręka pieszcząca rzecz martwą?...

Twarz mi się we śnie onym objawiła blada
Z przywarłemi rękoma — kiedyś — nad oczami,
Zrumieniona na słowo jedno, co ustami
Z serca było chłodnego wyjęte jak szpada;

Objawiła się chwiejna ku zsypanym dołom,
A mocna wizerunkiem ciszy, bo zbawiona
Przez nią, jak sucha róża w powietrze rzucona,
Kiedy gwiazda północna łka nad śpiące czoło.

Spokojnie, —
Ucałowałem w usta tę twarz doczekaną. —

I usłyszałem głosy podniebne i ziemne,
Głosy duchów brodzących za łodzią żywota,
A potrójnego życia obrzaski daremne
Rozetlały tej chwili płomieniami złota; —

W wielkiej gwieździe nad czołem mojem zawieszonej
Zamęt powstał radosny i błysk południowy,
Tak że wiele okrętów zbłądziło z namowy
Tej chwili nad bezdrogą morza razjarzonej.

Jakdyby, —
Całunek usta moje dokonał ku śmierci.

I dostrzegłem we chwili tej radość gaszoną
Ludów zmarłych,
szczątkami śpiących miast, i mowy,
Zaplątanej w przezrocza wieków jak w okowy,
W pół-ruchu i pół-czynie nim czas otrąbiono.

A miłosierne kroki idące bez trudu
Przez rumowiska zieleń, ciągle klaszcząc w ręce
Rozwijały szeregi chórów w śpiewu męce:
— Święta, święta jest ciągła zmiana, chwil i cudów.

Wiekuiście, —
Piękne to wielkie mgnienie przeżyte nad światem.

A zdarzyło się po niem, że krzyknął głos mały
Ptak, być może, zbudzony ciszą śródjesienną,
Gdzie wiele dawnych twarzy pełni noc codzienną,
A spadające krople jakby lecąc spały;

I głos był niby przejście wielkiej grzmiącej wrzawy
Pod echa rzeczy zwykłych: świateł, tchnień i cieni;
Wiedziałem że już mur się świtaniem rumieni,
I budzą się kolory nakształt zwiędłej trawy.

Wzruszone; —
Serce tylko się jeszcze tłukło coraz ciszej. —

— — — — — — — — — — —

Tu wstanę i wiele czynów wstanie ze mną skoro,
Choć z tem pięknem niechętnem
i wargą wzgardliwą,
Jaka najprostszym drogom próżne daje żniwo,
Rozsiewane przez palce z radosną pokorą.

Oczy które mi jeszcze tamte widma biorą
Obrócę na was, drzewa z przerzedzoną grzywą,
I na to dnia późnego cieniutkie przędziwo,
Igrające z gałęzi grubą cierpką korą.

DROGI ODLUDNE

»Uważać możemy jakąś postać pod trzema względami: I-o w jej gatunku i proporcyach: człowiek jest człowiekiem, zwierzęciem ludzkiem; II-o w jej namiętnościach oraz ich odruchach: lew rozwścieczony ryczy, albo też jeździec stara się poskromić konia i III-o jeśli nie chodzi już o jakiegobądź człowieka, lecz o człowieka, który myśli i robi rzeczy, jakie sam tylko myśleć i robić jest zdolen«.

J. Pelladan »Ostatni wykład L. da Vinci«.

PORTRET NIEWIADOMY

Oczy twoje smutne a łaskawe
Nie chcą widzieć, co wiedzą zawcześnie;
— Tak się jasne zamyślają wrześnie,
Gdy przewiewa wiatr żółknącą trawę.

Silne a bezwładne ręce twoje
Nie chcą łamać, czego zgiąć nie mogą!
— Tak nad wielką, hałaśliwą drogą
Górne chmury mają swe postoje.

Ale wróć się jeszcze, noc umila
Wszystkie nędze w zachwyt nadmogilny;
— W wiedzy oczu, w twojej ręce silnej
Niech się spala jedna niema chwila.

— — — — — — — — — — —

A to wszystko, o czem mówić pragnę
Pełen mocy, w twoim żyjąc wzroku:
— Pusty żagiel, topniejący w mroku,
Poprzez trzciny, gdy je dłonią nagnę.

Z WĘDRÓWEK

Szedłem ku tobie, zbierając w dłonie obojętne osty, zbierając w dłonie pył i przędzę późnego lata — granicy lata i jesieni.
Szedłem ku tobie, śpiewając obojętne dziś, niosąc na plecach suchą skargę wczoraj, — przez drogi bagniste i suche, przez podejrzliwe rozmowy ludzi, przez ulice miast...
Szedłem w blady dzień świtu, z dymem ognisk, z siwą mgłą, szedłem z tańcem gwiazd wśród sadzawki ogrodu — w południe, wieczór i słotę.
I pytałem się wszystkich, którzy nie mogą odpowiedzieć, pytałem się, jak stara struna, jak liść u progu zamkniętej willi, jak ciekawość gasnącego płomienia — —
Czyż nie widzieliście jej, o nierozumiejący? —
Czyliż nie chwaliła się wam dłonią, pełną owoców, z których rosną kwiaty i liście, czyliż nie całowała was, przechodząc, aby dać gorycz? — —

I byliście niemi, a ja, potrząsnąwszy wasze ramiona, — odchodziłem.

Biegłem za tobą! —

— — — — — — — — — — —

I spotkaliśmy się kiedyś w głosie najwyższego kłamstwa, spotkaliśmy się, jako dźwięki, które, iż są poza skalą tonów — nieme są.

I oto zapałałem ku tobie słodką nienawiścią, — niemą rozpaczą tego, co nie może być powiedziane — —

Świecie mój, chaosie niemych tonów, — głośna do szaleństwa ciszo!

Obudziłaś we mnie myśl, która myślą jeno być może, a czemuż czyn jej tylko ma stać się rozumieniem?

— — — — — — — — — — —

Więc poodrywałem od serca liście najświętszego szczepu i ująłem je, jako kij podróżny, w dłonie, a nie postawię go nigdy u żadnego węgła domu, aby snadź nie zakwitł.

— Ja będę szedł.

Niosąc w piersi strasznie łkającą i niemą piosenkę, niosąc w piersi nutę najwyższego kłamstwa, które błogosławieństwem pożegnania jest — będę rozrzucał miłośnie kijem swoim cudze ogniska, szukając pięknych iskier w popiele — — —

...O cudne skrzypce moje! — Nie ujęteście przez żadnego grajka. — W ciszy — śnicie.

A czyliż wasza tajemnica nie jest przyczyną wszechistnienia?...

DROGI ODLUDNE.

DEDYKACYA.

Jednaś mi jest — tęsknoto ogromna, a tysiącem postaci chodzisz obok mnie i każda z nich — cząstka ciebie — płomyk, lśniący w ogromnej bryle materyi.
I gonimy się słodko a zazdrośnie po uliczkach i po piaskach, gonimy się z krzykiem rozpaczy po ostrych krawędziach, i znów tulimy miłośnie omamienia własnych istnień, a tak jest po wieki. Oszukani jesteśmy, ile razy śpiewamy zwycięstwo, a gdyśmy smutni, nie widzimy w dłoni złotej gałęzi...
I tak chodzisz obok mnie w tysiącu postaci i tysiącem ich, mijasz mnie.
A jesteś mi ptakiem, i trawą, i obłokiem i wiewem rzeczy bezgłośnych — tchnień i oddechów świata...

Ja biorę czasem konchę piękną, — jakby z wyłamanemi na podziw kupców perłami biorę konchę. Do niej, gdy przytulę ucho, opowiada mi o rze-

czach tak dobrych, że dobremi być nie mogą, bez przyczyny będąc.
I dlatego zatraca się wszelkie określenie ich, a pozostaje tylko szum konchy...— — — — —
Tam, to Ty jesteś, w tej bezdni załamań, w tym braku określeń, — bezużyteczna bezcennością swoją...

Szatan jakiś zawsze szepcze mi, gdy słucham muszli perłowej:
»Ona tam jest, porwij ją i wynieś w świat, iżbyś zaćmił zastarzałe słońce«.
I wtedy włada mi szatan, bo jakby porywam Cię i wynoszę w świat.
Ale w świecie widzę tylko tysiąc postaci, mijających mnie, na ulicach miast mijają mnie one.
A ja wracam do muszli słuchać jej nieokreślonej mowy, gdzie Ty jesteś cała — Tęsknoto...
— — — — — — — — — — —

I są jakby muszle perłowe, a perły wyłamane z nich na podziw kupców, — lśnią i migocą.
I lepsze jeszcze są muszle bez pereł, bo po perłach rany są w muszli.
A ja będę mówić o konchach tych, na dnie mórz leżących i na śmietniskach, na kominkach pięknych i pod ławą rybaka... — — —
Tak mi kazała — Miłość tęsknoty.

RADY ODDALONE.

Stwórz sobie, moja dziewczyno, te wolne, a swobodnie w bystrym biegu polatujące obłoki, obłoki białe, jak śnieżysta piana.
Płyną one po spłowiałym lazurze, jakby porwane ogromnym prądem niewidzialnych rzek.
Stwórz sobie te obrzeża horyzontów złociste, lekko dymiące, te kłęby blado-złotych dymów, któremi żegnają twoje oko, jakby ogromne fregaty zza widnokręgu. — Strzałami żegnają, a dymy strzałów zastygły po wybuchu w złocie.
Zawieś nad sobą brzozy rozhuśtane na wietrze gdy kora ich, rozpalona białym zachwytem, pęka spieczonemi wargami na tle zieleni.
Otocz się obłokiem żyznym opadów kwiatowych łąk, — wiecznie polatującemi kłębami pyłów, których strumienie wypełniają sfery powietrzne.
... Tak, o tak!
Klęknij przed sobą, jak przed małą kapliczką polną

z drzewa pomarszczonego, skąd tryskają radośnie blade kity wesołych pasorzytów.
Ukórz się i stwarzaj!
I stawiaj się po trzykroć, a sama czuwaj stwarzaniu.

— — — — — — — — — — —

Teraz zejdziemy w te wielkie wody, gdzie sama niewiesz, czyli jesteś koło siebie, zawsze nie wiesz.
Zejdziemy w mżące zachwyty niejasnych chceń, nad doły kłębiące się niewytłomaczoną strażą, na mosty, gdzie nad niebem się idzie, a wody zwisają od góry z konturami ziemi.
Zwiedzimy zamki — zwały obłoczne, przysiadłe jak na szkle na przezroczy płaszczyzn powietrznych, a pod nimi się roją perspektywy dolne miast i lasów.
Przerzucimy ręce przez ogromne przestrzenie i ściągać będziemy ku sobie kawały niejasnej pamięci, o zarysach szlachetnych okrętów, płynące z wartkim szumem prądów tego co się ciągle dzieje.
Potrącimy nasze trwogi, jako gości milczących a potężnych, obejrzymy je jako bolesne paszcze demonów, trzymających w wargach znak wejścia — koło żelazne.
Zejdziemy do ciemnych ogrodów, gdzie za stawami przesuwają się milczące sylwetki naszych przeszłych postaci podobne do cieni elizejskich na tle sosen północy.

— — — — Ach! wiele, wiele pod wielkiemi wodami znajdziemy.

Będą to zjawy, które postaramy się łowić rękoma, zarzuconemi na wielkie przestrzenie, — zjawy podobne do zaginionych pobladłych korali. Będą to kręte, wązkie uliczki, mury, znaczone w oknach zielonawym brzaskiem, gdy palą się nad miastami czerwone obłoki zachodniej nadziei.

Będzie to słodycz uśpionego w słońcu na skraju polnym tuż u jeziora, z nogą opuszczoną na dziób lekko osadzonej łodzi, gdy bełkot fali z pod dnia i szum traw dojrzałych dziwnie pieszczą jego zasłoniętą głowę.

Tak, o tak! O ileż razy stwarzasz i korzysz się, dziewczyno moja!

— — — — — — — — — — —

I tak przybędziemy pod ogromne zwrotniki, gdzie opadają martwo żagle i gdzie są płaskie skały, pokryte silnym parzącym szlamem. Tam złożę cię na fali gęstych wód, a sam ze skały, dotykając dłonią twoich piersi, będę przemagał war rażącego słońca.

I gdy zejdzie parna noc, a ty przy księżycu zaświecisz białością gwiazdy w wodzie odbitej, — podniosę cię, zeszedłszy do wody, i miłośnie tuląc się do siebie, pójdziemy za słupem księżyca z powrotem — do ludzi.

Tam zamieszkamy wśród nich, dwoje, miłością pełni, jak cudny, stary wodotrysk w podłej mieścinie. I będziemy chodzili po placach, zwiedzać jarmarki i nużyć wszystko, jak kielichy górskiego powietrza: nużyć przekupniów, wiatraczki i dzieciom dawać poważne zdziwienie.

Aż póki nie wstąpimy na stos zmurszałych desek, pełnych tłustego robactwa i nie uderzy weń przy gwarze targowisk piorun białego księżyca. — Wtedy staniemy się polatującą garścią perzyny, a komunję z niej da miastom powiew od gór i morza.

PIĘTNA NIEWOLI.

Wziąłem ciebie kiedyś, dziewczyno moja, na okręt ogromny. Z dalekiej przystani wypłynął on z nami, a żagle błyszczały od słońca, jak zwycięskie tarcze. I ty zostawiłaś na brzegu swoje złośliwe karzełki, co próbowały oplątać włosami późnego lata, — pajęczyną trzeszczącą, jak białe iskierki, kadłub naszego okrętu. Zostawiłaś na brzegu stare, ciężarne twoje krewne o twarzach skrzywionych i piersi obwisłej, które ci z przekleństwem zapowiedziały powrót i mściwość swoją. — —

Wziąłem ciebie kiedyś, dziewczyno moja, na okręt ogromny.

Jak tarcze zwycięskie błyszczały okrętowe żagle, a ogromne twarze fal, złote i szmaragdowe, przewracały się daleko z szerokim uśmiechem.

I pokazywałem ci, spoglądając przez siatkę twych pachnących włosów, blady a poważny, białe mewy, sługi samotnych, i dziwne twory słoneczne, dosiadające ryb śliskich, chłodnych, a zwinnych. Po-

kazywałem ci błękitne, powietrzne wstęgi, ciągnące się za biegiem naszym, i ciężkie wstęgi wód, rozchodzące się na boki.

Byliśmy jak ci, co stopą uderzywszy w deski pokładu, mogliby się unieść nad nim i płynąć przodem, jak loty bogów przed flotą zwycięską.

Byliśmy kładący ręce na jakichś niewidzialnych płaszczyznach, gdzie mimo końców palcy, płynęła już słodycz dotknięć, wiodąca do szaleństwa zachwytu.

A bladzi i poważni byliśmy, i ja i ty. — —

I stało się, że w przezroczu twojego oddechu zabłąkała się przyczajona, a tak subtelna fałszywa nuta, że poznaliśmy ją jeno po większym ciężarze naszych lotnych ciał;

wtedym odsunął z mej głowy siatkę pachnących twych włosów, a wiatr ją chwycił i kłębami odrzucił w tył.

Zza morza ujrzeliśmy wtedy chmurę bladą a syczącą, jak stanęła nizko, czekając.

I usłyszałaś z pod pokładu ciężkie oddechy wioślarzy i zapytałaś mnie, a twarz twoja była ciekawa i zła:

— Jacy to ludzie tak ciężko nas wiozą do wysp zachwytu?

I odrzekłem ci, że są to szczęśliwcy międzypokładów, a mają oni po brzegach dziewczęta w gospodach żeglarskich, które rodzą im tęgie dzie-

ciaki. I że oddech ich jest wyrabianiem kości krzepkich i ramion ogromnych, któremi przyniewalają tęgoude dziewczęta brzegów.
I że oni są, którzy objadłszy się płodów tłustej ziemi i głupich małych ryb, używają w święta ciałem swojem, a żeglarstwo mają obowiązkiem, przekazywanym z mocnem łożem i wrzaskliwą miłosną zabawą.
— — I zachciałaś ujrzeć ich, a okręt zawrócił ku brzegom wśród zgrozy fal, kryjących szerokie twarze w mętnej pianie, zawrócił ku gospodom żeglarskim.
Chmura tymczasem zakryła słońce.

— — — — — — — — — — —

— — Wtedy...: postąpiłem krok od ciebie i podarowałem ci... okręt skrzypiący, wszystkie jego bale, koła żelazne, smary kryjące szczeliny ścian, mokre trzepocące się żagle i załogę.
Dałem ci też wszystkie gospody żeglarskie, które już huczały z blizkich brzegów.
— — I za chwilę zstąpiłaś radosna na brzeg i weszłaś do ogromnej szynkowni, gdy już padał deszcz i wiał od ziemi wiatr — dymem, wiał, potem i kupami rozdeptanej naci z tylnych podwórz szynkowni.
Weszłaś ze mną do izby szynkownej.

— — — — — — — — — — —

I ujrzałem cię wtedy, białą, resztą światła, jak chwyciłaś ogromny kielich z szynkwasu, a ręką otoczywszy szyję tęgiego chłopa, rzuciłaś się w wir taneczny do izby drugiej.

Potem widziałem, jak na drogiej twojej szacie położył się pod ławą pies żebracki, a ty dałaś nagie piersi łaskotaniu starego sternika. I widziałem cię na stole wśród kufli i w kącie przygniecioną cielskiem rudego okrętowego wyrostka, gdy z ochrypłym piskiem, wyginałaś się w łuk, a oczy ci się skrzyły zielono. . . . — — —

— — I gdy ujrzałem cię tak: — krzyknąłem przez izby i zaśmiałem się cicho, a głupio otwarte twarze zamknęła chwilowa cisza.

Wyszedłem, a na trzask drzwi za mną, zaczął się znów gwar gospód, jako młynów, co milczeć nie mogą. . . .

W małem czółenku popłynąłem za chwilę ku słońcu, pod którym ogromne twarze fal złote i szmaragdowe przewracały się daleko z szerokim uśmiechem.

ZEMSTA KRYJĄCYCH SIĘ.

Zaprowadziłaś mnie do małej komnaty o dziwnie wysokim stropie, gdzie jedyne wązkie okno rzucało trochę światła, kradzionego blizkim murom. Zaprowadziłaś mnie, jak piastunka trwożna, — piastunka samej siebie, dzikiej południcy, udręczonej drobnym deszczem.

I nie było nic w komnacie prócz strojów rzuconych na ziemię, kłębów różnobarwnych szat drogich i nędznych, gdzieniegdzie przesypanych pudrem i jakby wypłowiałych od łez.

Na oknie stały graciki drobne: kołyski, głowy stłuczone lalek i leżały zwiędłe gałązki szaleju, skręcone w wianek suchy.

I pokazałaś mi ze czcią, a druga twoja twarz oddała się miłośnie wstrętowi, pokazałaś mi pyłek złoty w kącie podłogi, który jakby śpiewał ranną piosenkę tym, co przedrwili noc całą i śpią, trąc krwawe powieki.

A gdy ujrzałem pyłek, zaczął on pracować w bły-

sku i wydał ogromny tuman lekko lśniący, a ten otwarł blade usta, by powiedzieć najdroższe moje słowa.

I gdym jak człowiek stał się przerażony i rzuciłem się ku tumanowi, by nie rozwiał bladych ust swoich: —

— — Z dzikim krzykiem mordowanego zwycięstwa, cisnęłaś o ścianę kryształową kulę czaru i całem ciałem rzuciłaś się do mnie, podżegając do najobłędniejszych rozkoszy.

— — — — — — — — — — —

Do pokoju wtedy weszły papugi i, rozrzuciwszy po ścianach złociste swoje pióra, zaczęły chwiać dzióbami, a zwieszone z nich kadzielnice, rozwłóczyły nikły dymek zgaszonych świec.

PRAWDA CZYŚCOWA.

Przypomnij sobie, dziewczyno moja, jaką posiadam moc przemian, — przypomnij.

Pamiętasz, kiedyś byłaś królewną i siedziałaś u źródła wiecznie dziewiczych tęsknot, przesuwając opale długiego różańca.

I dużo myślałaś o sobie i czułaś, że jesteś druga, chodząca pośród rąk targu, a te szczypią cię w podbródek i piersi.

I że oceniają cię te ręce na całą rozkosz ciężaru, na cały rozkwit miąższu twego, po którym się staniesz, jako pusta skorupa dyni.

Pamiętasz, byłaś kiedyś królewną? — —

I ja w jednej ze swoich przemian, wiedząc, iżeś to ty, którą drugą spotykałem często na placach i targach, wziąłem na siebie postać hojnego żebraka, a ustom mówić kazałem, iżem królewicz, chory na próby pięknych rzeczy, które się zwykle myśli.

Tak się zbliżyłem do źródła tęsknot dziewiczych.

I usiadłem obok ciebie i pochyliłem się ku tobie, a nic nie mówiłem, widząc, iżeś bardzo piękna. Nie mieliśmy się jednak rozmówić przy źródle tęsknoty.
Bo oto nadeszłaś ty — druga, i zawistnie zmąciwszy się ze sobą, chciałyście oszukać mnie. Wtedy źródło tęsknot trysło raz wyżej i znikło pod ziemią.
I usłyszałem, jak wiodłyście cichą ze sobą kłótnię, a ja siedziałem obok.
A królewna mówiła:

»ze szczerą obłudą przyszedł do mnie, by jak anioł z człowiekiem wzmagała się z nim tęsknota moja.
Utajone kłamstwo mi zdradza, a okrył się po wierzchu prawdą, aby uszła przenikliwości mej chciwej; jego jestem i poza podejrzliwością całujemy się jak dzieci«.
I mówiła owa druga:

»zbyt słabym jest, iżby mógł unieść podstęp dla mnie niezrozumiały; musi być królewiczem, bo podoba mi się«!
I owa druga, gdy tem zgnębiła królewnę, a ta, nic nie odrzekłszy, bawiła się kulą różańca — podeszła do mnie i zachciała odsłonić łachmany żebraka.
Wtedy zmieniły się łachmany i ujrzałaś, dziewczyno, strój człowieka prostego, — zmorę dla cie-

bie mglistą, iż że twoja królewna żyć jeszcze w takiej prostocie nie może.

A ja wstałem i błogosławiąc drżeniem warg mocy swoich przemian, poszedłem daleko, wpatrzony w toczące się główki ostu.

Może wrócę kiedy i inną będzie królewna twoja i razem pójdziemy? — — —

— — — — — — — — — — —

Trudno jest iść, patrząc na toczące się główki ostu.

NIEWOLNE WYZWOLENIE.

W czarnym dużym pokoju stoi powyginany stół. Postawiłaś tam kupiony dawno bez, — krzak pobladły.
I gdy opadły kwiaty, jako gwiazdki nikłe, gałązki dały z siebie blade liście, a te pięły się ku mętnemu światłu, bo takie światło było w pokoju. — — —
Wychodzę i wchodzę do pokoju czarnego, — o dziewczyno moja.
I patrząc po ciemnej atmosferze, maluję popiół gobelinów, a dziwaczne wampiry ssą tam kwiat chorej jabłoni . . . . — — — — Odrzuć krew z siebie, odrzuć te zczerniałe wiśnie zastygłe na ustach, a maleńkie ranki zasyp pyłem słonecznych ścieżek.
O czyliż jest światłem grająca harfa ogromna?
Wnieś ją, wnieść każ przez zamałe drzwi!

— — — — — — — — — — —

U stóp zielonego wzgórza rośnie krzak jałowcu, rośnie krzak w wilgoci wieczorów. I małe mrówki toczą koło niego okruchy traw i ogromny księżyc, przez plątaninę ziół, błąka się po jego piersi.

— — Stwórz sobie pęk kulisty błyskawic, ujmij go silnie w ręce i stań w ciemnym pokoju, — może dasz światło!

Bo z ciemnego chłodu wysnuwają się nitki oszlamionego bezwładu i ze słodyczą wodzą cię od drzwi do drzwi.

A za drzwiami grają ogromne orkiestry, obraca się wielki karuzel tekturowych serc i w słońcu lęgną się muchy na gnoju ulicy. — — — — — — — Upał parzy dachy, i jest godzina południa.

RADOSNE EPITAFJUM.

Kiedyś przyszła ją zwalczyć Niewola ziemi, przyszła ją zarazić trądami swemi i rdzą rzeczy mijających. Aby poddana była czasowi walk, jako kamień bezwładny, jako rozkruszona budowla, aby dawała łom gruzu w ręce witeziów i niewolników.
I obaczyła Niewola jej oczy niewytłomaczone, gdzie wejrzenie nie daje ani wyzwania ani pokory.
I nie wiedziała Niewola, jak porazić ją. . . .
A długo stała przed Niewytłomaczoną, ona, — moc ogromna.
. . . Aż schyliła się Moc ziemi i potrójnym pocałunkiem wskazała, niewolnikom za nią dążącym, jak pozdrawiać Niewytłomaczoną.
I pierwszym pocałunkiem dotknęła jej czoła i zamknęła w nim myśli słoneczne za kratą niemoty.
Drugim pocałunkiem zapłonęła pod piersią jej lewą, na sercu, i wezbrała pierś jej pragnieniem rzeczy krzepkich i pewnych, na których-by się miłośnie wsparła;

a trzecim pocałunkiem owinęła się wkrąg zawrotnego kształtu bioder jej i naznaczyła jej łono żądłem wzruszeń tłustych i lepkich.
I dała jej potem w rękę jabłko władcze, — kulę żyznego czarnoziemu, z motylem, wgniecionym za skrzydła do wierzchołka kuli . . .
Wtedy odeszła Niewola ziemi, a odchodząc posłała głos daleki nad głowę Niewytłomaczonej, który mógł być równie lękiem odeszłej jak i jej szyderstwem.
A głos ten drżał w sferach powietrznych:
— Nie rzuciłam cię na twarz przedemną, nie połamałam goleni twych, i nie szukałam włócznią, azali w krwi twojej życie błądzi.
Równą mi będziesz wszędzie i wszędzie uśmiech swój poznamy.
Boś pocałunkiem moim potrójnym, własną się stała niewolą a duma twoja wzniesie się tylko do poczucia zależności — — —
Nie wiem, po trzykroć nie wiem, i dlatego, o Niewytłomaczona, siostrą mi jesteś.
I na długo zaludnimy świat. — — — — — —
— — — — — — — — — — —

I dzieje się, że Niewola ziemi po ziemi chodzi po dziś dzień i z siostrami swemi umawia się po zaułkach i w jaśni,
A siostry jej są: zwinne i przebiegłe, nędzne

i dumne, ród strun harfianych, a palce na nim — ziemi Niewola.

I niema nędzy na świecie, gdyż jest wszędzie, i niema bólu na świecie, gdyż w tępości śpi otulony pinczerka okrywką, gdy po drogach chodzą słupy śnieżycy.

— — W klasztorach dobrych, gdzie się modlą do odbicia słońca w kropielnicy, albo-li na celi ścianie; w gospodach marynarskich, gdzie tyje się od tłuszczu rybiego, a dziewka tęga za sieci zasłoną czeka, w czarnym pokoju, gdzie mętne światło; w domu jasnym, gdzie przy turkocie ulicy biją serduszka pękate o nogach poczwary, a wtóruje im budzik-gospodarz; wszędzie i wszędzie po ziemi i po niebie kalendarza włóczy się sepleniąca, kaprawa istota jutra.

I jest to istota stworzona na obraz i podobieństwo swego boga, twór zarozumiały w pysze cnoty, która obrazoburstwo gani — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Płyną okręty poza ziemią, złote okręty po okręgu świata, wielkie nawy, a każda słodyczą gra, jako zjawa morza wiecznego.

I każda ma w tramie, w belce najtęższej, jedno maleńkie ziarno myrrhy, łzę stężałą, która widziała uśmiech Chrystusa, najskrytszy z jego uśmiechów w godzinę adoracji. — — —

A okręty owe wiozą dusze słońc, banity krajów, rządnie w istność patrzących.

— — — — — — — — — — —

I jak czajka srebrna błąka się między okrętami myśl, jakby zbyt gołębia, dla wód na okręgach świata:

»O struny harfiane, o ostre struny łatwo rdzą trawione!

Zbawiący litością we krwi pada; — i tutaj więdną skrzydła moje!

Gdyż czajką srebrną jestem, strząśnięta skrzydłem orłowem w ruchu najczystszej chwały, a imię moje — płomień różowy w kuźni żywotów«.

I jakby wznosi się dłoń nad pieczarą w skale kutą, jakby płonie dłoń żądzą słów rytych:

Przeszłaś, wejdź w nowe, gdzie tylko duch wznosi się lub opada!

Lecz tu, w błyskawicy miga nocą twoją jeno:

— *Radosne Epitafjum*. . . . .

— — — dalej? — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

O czajko srebrna! — — —

POSŁANIE.

Przyjacielu mój, do niej idź, znasz czas i drogę,
— Wiem, że dzisiaj jest dawnych powieści
[spragniona;
Idź; — oto ci daję rozliczne, wrzeciona,
Moc tkania, — wszystkie życia stare dać ci mogę.

Nie pytając o wejście, wnijdziesz, z cichem czołem,
Tam, gdzie tak długo żyła dusza ma tajemnie,
I jak kupiec, tkaniny przyniesiesz odemnie,
Z dziwacznych nici złudy, które życiu wziąłem.

I rzeczesz: druh mój kazał mi, Pani, do ciebie,...
— Przychodzę, jestem rozbitek z żeglugi bogatej;
Morze mi perły wzięło i strojne żądz szaty:
Chyba tkaniną, oto, oczom twym pochlebię?

Rzeczesz przytem: słowami ja jestem zasobny
Przygód, które tęsknoty wzbudzają podzwonne,
Wyrazy mam, leczące wszystkie żale płonne,
Łzy mam, w zwierciadła rżnięte, w szkatule ozdobnej.

Mam starą, małą książkę o pożółkłej karcie,
Gdzie wszyscy ludzie dawno pragnienia pisali,
Nóż mam, pęknięty gładko, z zbyt hartownej stali
I rzeźbioną twarz boga w srebrze, — półzatarcie.

A gdy się rozciekawi Pani i zasiędzie
Aby słuchać i w słowach błądzić, rozmarzona:
— Wstaniesz i nad czarami rozpostrzesz ramiona;

I rzeczesz: to mi kazał druh darować Tobie,
— Garść popiołu, słowami żywą, w snów ozdobie,...
I wyjdziesz, a wyjście twoje z cichem czołem będzie

LIRYKA

*

Chodź ze mną nad brzeg pustego morza w noc chłodną.

Od chat rybackich, zdaleka, błyska światło i lekki zapach dymu snuje się w powietrzu.

Usiądź na skraju przewróconej łodzi, — ot tak: —
ja u twoich kolan —

I opowiem ci jak chciałbym iść w tą ciemną wodę, aż pókiby nie podmyła mi nóg fala — dalej od brzegu, i poniosła het na wzburzony przestwór. Jakbym tam kołysał się w szumie dobrych słonych fal i na twarz padłby mi pierzchliwy promień księżyca.

A potem wróciłaby mnie powrotna gędźba rosnących wód, i wróciłbym tu do twoich nóg, pod krawędź pustej łodzi.

Ale nie jużbym nie mógł ci opowiedzieć i gdybyś nawet schyliła się ku mnie nie wzniósłbym rąk. Moja dusza wołałaby cię jeno w gędźbie rosnących fal, pląsając het na pióropuszach piany — w świetle drżącego księżyca.

* *

Im głębszą staje się zima, im głębszy na wszystko spada śnieg, tem szaleniej myślę o wiośnie.

Nie o wiośnie miejskiej, nie o gwałtownem tętnieniu rynien gdy spływa w nie zleżały, topniejący śnieg.

Myślę o pierwiosnkach, o rozbłysku rozmokłych dróg wiejskich, o idylli pierwszej zieleni i pierwszej radosnej pieśni.

Ja, wstrętny i płochliwy człowiek, nieprzyjaciel mokrych dróg, wiosennego błota i marcowej zmiennej pogody. —

Jednakowoż, im głębszą jest zima coś się we mnie rwie do tej nieobeschłej a radosnej wiosny.

Czuję w sobie pierwiastek stworzeń dzikich, tarzających się po pierwszej runi w oparach mokrych łąk.

Może wiem, ja biedny płochliwy człowiek, że na wszystko kiedyś spadnie śnieg i moja pieśń zaklęta w zeschłej główce ostu potoczy się z wiatrem — hen, w śniegowe pola.

* * *

Sto wysmukłych wież i sto głębokich chłodnych cieni z pod arkad odbija się w wodzie.
I wiem, że za wieżami usypia słońce, i wiem, że za miastem wież zasypia wielkie morze. — — —
Siedzę u brzegu cichego kanału, trzymając w ręce półzwiędłą różę.
W takt bicia dalekiego dzwonu, którym co dnia głosi spokój jakaś odległa bazylika, opadają płatki różane.
I budzi się w mojej duszy cień wieczorny, spływa na rozkrwawione myśli chłód idącej nocy; —
Módlmy się bracia wieczorem za biedne więdnące róże,
gdy zadumany bóg nadaje wolniejszy bieg światom,
a gdy myśli boże, w postaciach bladych wędrowców, chodzą po ścieżkach i wodach zasypiającej ziemi.

* * * *

Po pustych miastach — włóczą się globy słońc, w płomieni swoich złocie; — — —
śpij słodko, myśląc o włóczęgach świateł. —
Bezwiednie kroki chodzą w ślad za tobą, gdy we śnie wodzisz dłonią po konturach życia.
Pozłoty bladej widma na twych snów gobelin bezwiedni tkacze kładą w mleczne noce, — — —
i pryska chłodny zdrój rozrzewnień na obrazy dalekich świata dróg, gdzie kwitną szare róże.
Śpij słodko; — lśniące koło jasne jutro trzyma, by puścić je w bolesny, skrzący tan, i wyśmiać próchno rojeń.
O, póki nie wiesz, jak oślepia ten błysk koła, —
śpij słodko i śniąc szepcz prawdziwe żądze życia.

W krzywych uliczkach miast, gdzie się rozrasta błoto, włóczą się globy słońc, w płomieni swoich złocie. —
Poco się włóczą tam słoneczni ci pijacy?

Czy jakieś buntu pieśnie wzniecić chcą w zapadłych szybach?
Czy chcą w olbrzymów świat schorzałe wtrącić dusze? —

Śpij słodko; — słońca muszą włóczyć się po ziemi; —
— aby nie popadł w zbytnią wzgardę cień — od starych domów;
— aby wytykać można było tych pijaków brudną dłonią, — z owego cieniu, który słońcom smutek zmódz nie daje.
A szanowany cień jest twierdzą brudnych serc i dłoni.
Śpij słodko; bowiem nie wiesz, ma dziecino mała, że te włóczęgi słońc, jako i twierdze cieniów, istnieniem sobie wzajem dają życie — — a muszą żyć tak słońca jak i cienie.
— Proś we śnie bogów o inaczej wklęsłe lustro prawdy. —

* * * * *

Zostawiono mnie ze skarbami mojemi, mówiąc: — oto masz to, co-ś dał; — weźże z powrotem. Twoje złoto złotem dla mnie nie jest, — twoje matowe, smutne złoto.

Lubię jesień jabłek dojrzałych, lubię tkań pajęczą na płonącym owocu, a kolor twoich skarbów nie jest taki. — Weźże je z powrotem. —

I zostałem się w miejscu, gdzie rozchodziły się od nagiego pola tysiące dróg, niby promienie.

A przede mną, na ziemi, garść skarbów moich.

Cóż uczynię z niemi?

Stworzyłem je sam, i dary z nich niosłem, — dary odtrącone, które dla mnie teraz nijaką są wartością. Jednak zabrać je ze sobą muszę, bo twór ci to mój, a gdy odejść zechcę, — wszędzie pójdą za mną.

Wierny pies — ta moja, stworzona przeze mnie, bezużyteczna wartość.

Nie poniosę jej, aby się pozbyć, na targi innych krajów, — nie poniosę.
Bo dla mnie bez użytku są — sprzęty zbytkowne, — ciężka szkatuła ze sznurami pereł, w szybkiej podróży.
A czy weźmie je kto w jakim kraju jako perły? —
Ciężki naszyjnik biorę na ramiona, w szybką podróż idąc. — Muszę go ze sobą wziąć.
I każda perła, każda kulka tego ciężkiego różańca sama wsunie mi się w niezajęte ręce, w godzinę myśli wieczornej.
Abym uczuł wyraźniej chłód zawisłej nocy, ja, szybki podróżnik.
Hej, wkoło mnie toczą się jeszcze szybciej koła, — morzami płyną okręty.
I gdy widzi mnie słońce, miasta, kramy, przekupnie i tragarze, idę wesoło z tłomoczkiem na plecach, a płaczę tylko w nocy.
Bo wtedy jest mój sen, i to jest mój odpoczynek.
A na imię mu bezprzyczynna skarga, beztreściwa tęsknota zbyt gładkiego jutra.
Dalekim jeszcze od końca podróży, iż bez przyczyn się skarżę i bez treści tęsknię.
Czy doniosą mię nogi do słodkiego krańca?
Czy ujrzę spokój we wszystkiem, co jest żywe i sprzeczne?
— Wschódź i zachódź, słońce.

GENESIS

GENESIS.

Daleki wiatr zrywa się od złotego horyzontu, od równin jakby płynących na bliższe spotkania z mgły. Obłoki, o lekkim zrumienionym zarysie opuściły już dawno przystanie, gdzie dogasają latarnie gwiazd. I płyną z niedosłyszalnym szumem, z radosnym roztrącaniem pienistego okręgu, ponad sferami nizin rzeźwych, a zlanych chłodną wilgocią.
Czyliż nie słychać okrzyków boskich żeglarzy, czyliż nie oni to, zda się, dmą w kręte rogi, równając do szybszego biegu żagle? — — — —
Ze snu cichego, z szumu drzew, gdy deszcz zacina długie aleje, wstałem spalony gorączką szukań ślepych, wstałem jak zwierzę z przeciętemi dopiero powiekami, w które dmie wiatr od złotego horyzontu.
Młode są oczy moje, okryte jeszcze błoną bladawą, nienawykłe do owych złotawych lśnień i do chłodu rzeźwego pełnego wilgoci.
I pierwej dłoń moja wyciąga się do srebrzystej

zmiękłej trawy, do ziemi znaczonej palcem jak ciemna rozrobiona glina, do szafiru błot otoczonych tęczą zastoju.

I znaczy sobie czoło i oczy dopiero przecięte symbolem ich: ostrym trójkątem, sylwetą piramidy budowy, i w radości postępuje krok wśród śpiewu ptactwa polnego.

A powtóre wyciąga się dłoń do zboczy gór, gładkich jak aksamit, w oddaleniu — jako materja błękitna w żyły białe i kręte, wzniesionych spadami ponad równinę błota. I wskazuje na nich strażnice rabusiów jako i gwiazdziarzy sylwety, jedne i te same miejsca. Stamtąd powraca z symbolem prostej wysokości linją pionową zakończoną żeleźcem strzały.

A potrzecie wyciąga się ku morzu czystemu aż do brzegów niewiadomych, ku leniwym odbiegom fałd wodnych, ku pieśni wstającej bez przyczyny w buncie przestworu, z goryczą rozlewu i nowem wzmaganiem się na osnowistej pochylni głębi. — I wróciwszy, znaczy symbol ich, — linją krzywą o falowaniu pełnem gniewnej mocy, zwijającą się w coraz większe okręgi. —

A po czwarte wyciąga się dłoń moja po długiej chwili tłumnego gwaru, w którym i jęki i narzekania i jakieś starcia się lotów, ku sobie jako ku prząśnicy pełnej zwikłanych drogocennych osnów i bierze ostrożnie pracę jedwabiarza, mistrza tka-

nin cudownych, w jakie zaklęto polowania duchów po bladych gąszczach niezbadanej przeszkody. I powraca stamtąd promieniejąca symbolem koła, jednakim oddaleniem bezkresu od iskry słońca, jaka się wewnątrz pali w źdźble szlachetnej mądrości, w kropli pełnej świata i przestrzeni.

I oto wschodzi słońce i muzyka promieni przesłania oczy mgłą oddalenia, za którą czekają bystre i czujne, nigdy nie zwalone.
— Zakwitł dzień jeden. —

CHMURY.

Chmury obrzeżone bladem drganiem przedświtu są czasami jako ogromna pamięć bojów, po których w ciężkim spoczynku dyszy ziemia; — ale są też czasem jako stara żółknąca chusta, w którą wsiąkło wiele bezsilnych łez, aż póki ciśnięto ją do skrzyni pamiątek.

I owa ziemia pod chmurami, na której przyklękły płaskie ławy drzew, ziemia, mętnie odbijająca przedświty a cała drżąca i rozmokła w potopach spadłego dżdżu, jest jako pamięć bohaterska rozwiana z wiatrem, aby, ją serce boleśnie miłować mogło. — Roją się czasami w chwili chmur i bladego brzasku ciężkie czworoboki, widm idących na wygnanie bitewne, roi się blask ich zbyt cudnej broni. I kiedy w drżącą twarz uderza wilgotny prąd niziny, — usta poruszają się bezdźwięczną modlitwą ducha.

I mówi duch czuwający: —

— wielka jest, potwornie wielka

przemoc ciał prących ku zapomnieniu, ciał, któreby się chciały ułożyć w wesołych trumnach. A nad dobremi ciałami, jakie w ochocie boju są, mży drobny deszczyk płaskiej ziemi, od chmur, żółtych leniwym przedświtem.

Któż tedy śpiewa ochotę ciałom dobrym któż daje im podnosić się na łokciach wysiłku nad polami trumien.

— — — — — — — — — — —

Była pozwana kiedyś ziemia jedna jako anioł niezgnębiony, pozwana była w myt piękny cierpiącego bohaterstwa. I oto teraz w westchnieniach, w westchnieniach nizin, gdzie pełno zmarłych tuła się jej dusza.

I tym którzy na łokciach wysiłku unoszą się nad grobami tym którzy zroszeni są mokrym dżdżem przedświtu, ostaje się łaska trwania w cierpieniu, bowiem wiedzą o bohaterstwie wezwania. —

Wiele jest miast na wszelkiej ziemi i na onej jest ich takoż wiele. I gwarzą one ku zachodom echem spoczynku, gwarzą ku przedświtom budzeniem się z majaczenia strasznego, na ciągłą nędzę pragnienia, aż póki nie zejdzie drugi sen. A powiedziane jest miastom i ziemiom, jakby echem z tych bazylik purpurowych, które o zachodzie płoną, że odkupienie ich splącze w wiecznym przeklętym pragnieniu, w nędzy gwaru, który chce zagłuszyć sam siebie.

I jakby wiedzą miasta o chmurnem proroctwie. Bo rozlały się: owe nad wodami uciekającemi, pochylając ze smętkiem stare wieże nad bystrzyzną, owe u gór, przez które trudno się przewlec chmurom ciężkim, a owe u mórz zabierających w dal żagle złote i u piasków lecących za powiewem w ślady karawany.

A miasta ziemi onej, która pozwaną była w myt piękny, miasta one, od których mogłaby odbiedz dusza, aby znów wrócić ze smętną trwogą, — zawarły się trzykrotnie w nędzy oczekiwania, a wiedzę pięknego bohaterstwa cisnęły poraz wtóry, jako zżółkłą chustę do skrzyni pamiątek.

Ziemio, ziemio (tak cichnie opowieść ducha), nie stworzonaś na kramarską potęgę, a hałaśliwe bohaterstwo złamało cię kiedyś. I oto teraz leżysz jako rozłamany chleb, ociekły gorzkim miodem łez i krwi, leżysz jako pątnik powalony, któremu gorze wstać, kiedy żadne oko w oczekiwaniu nie spogląda. Przechodzą nad tobą chmury obrzeżone bladym drganiem przedświtu, synowie twoi dobrzy unoszą się na łokciach wysiłku nad polami trumien. Ah, zejdź prędzej słoto i mżący chłodzie kropelek! Wszakżeśmy synowie ziemi, która ma być umęczona aż do końca za spokój radosny świata. — Ale do tego czasu przejdzie jeszcze we wrzących słońcach, wiele ciężkich bataljonów, rozrzucone będzie po polach wiele zniszczonej prostej broni

i nieraz płomienni archaniołowie odejdą z odrazą ku górze, lśniąc mieczami światła.

— — — — — — — — — — —

A zda się przez chwilę, że niema języków niewoli, zda się — mocą rozłamane są wrota smętku. — Daleko. — Błogosławieństwo upadającym.
(Tak ścichła powieść ducha).
Chmury obrzeżone bladym drganiem przedświtu płyną nad miastami ziemi, aż póki nie spłoną kędyś na zachodzie, podobne do bazylik purpurowych....
Jedne miasta pochylają swoje stare wieże nad uciekającą wód bystrzyzną, inne u piasków stoją, lecących w ślady karawany. —
— Serce w miłości ziemi odchodzi ku coraz nowym drogom. —

TO CO PO MNIE NIE ZOSTANIE.

Nie kładźcie nigdy pieśni na ciężkich chorągwiach ludzkości, wleczonych za drzewca po polach bitew i zamętu. Niema tam dla niej miejsca. Byłoby to przed czasem lub po czasie.
Nie wymawiajcie pieśnią dusznych pożądań tłumów; tam bęben i ciężki młot kowala muszą odegrać swą rolę.
Tam muszą wziąć udział te wszystkie krzyki gardłowe do gotowego już jadła, które się zdobywa, depcząc po misternych nagrobkach książąt krajów i ludów.
Nie kładźcie też pieśni w ciężkie dumania królów, w ryk ślepych armii, pod koła furgonów, w usta miłosiernych lekarzy.
Pierwszy lepszy kapelmistrz, dobrze płatny, lepiej zachęci czworoboki do zwycięstwa.
Bo jeśli myślicie, że cudowny smętek waszej ojczyzny dość głośnym przez was będzie, to spłyniecie po lawetach i ostrzach, rozkruszycie się

z gruzem murów i darnią szańców, to z waszych myśli zostanie tylko ochłap jutra, zbyt blizkiego, aby nie było pożarte przez nowe błędy prawodawcze.

Nie wierzcie uciskającym jak i uciśnionym: — jedni i drudzy zatrują wami swe podboje, z piękna uczynioną komendę i takt w zapasach o nowe nędze. —

Nie kładźcie pieśni kobietom na kolana jako pęków dojrzałych owoców, w ich niedojrzałe pragnienia nie nachylajcie połysku gwiazd. Żądze ich to ciche stawy: — wiele grobelek z wiatraczkami i domkami stoi w koło, a tyle tłustej ziemi obległo te wody.

Ale nieście ją w myśli jako to, co się spełnić nie może, jako to, co niema ceny ani przetargu.

Bo czyż nie po to zeszliście tutaj, aby wam złorzeczono bezrozumnie — zadawano hańbę bez pożytku?

Bo czyż nie poto płoniecie tutaj, aby powiedziano o was, jako o wiosennych lodach?.

Ale wy winniście wiedzieć, że przez was idą pierwsze drgnienia tego, co się ciągle rozkłada, aby przerodzić na nowo.

Największe szczytne loty, nie mające jeszcze za sługi ani królów ani gminu, żyją w was. Potem dopiero nastąpi podłe wykonanie, śmieszne »teatrum« widm i zwierząt.

A to, co przez was przejdzie, nikomu tak się zostać nie może...
Czuwa jeno dalej, nad nowym kołowrotem chaosu.

SPIS RZECZY:

20—

WYDAWNICTWA JAKÓBA MORTKOWICZA:

WACŁAW BERENT

OZIMINA, *powieść.*
FACHOWIEC, *powieść współczesna.*

DZIEŁA CYPRYANA NORWIDA

Pierwsze kompletne krytyczne wydanie w ośmiu tomach w układzie i pod redakcyą ZENONA PRZESMYCKIEGO (MIRIAMA).

WYBÓR PISM EDGARA ALLANA POEGO

w przekładzie ARTURA GÓRSKIEGO I STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO.

LLIERS DE L'ISLE-ADAM

OPOWIADANIA

wybór i przekład ZENONA PRZESMYCKIEGO.

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

STUDYA NAD KRÓLEM DUCHEM

Część pierwsza
MISTYKA SŁOWACKIEGO

Część druga
KRÓL DUCH.

DZIEJE SZTUKI

Malarstwo, rzeźba, budownictwo, sztuka stosowana.